

Nie lubię

Kto nie chce, niech nie słucha, ale kłamać nie przeszkadza

Miał starzec trzech synów: jeden chromy – bardzo lubił biegać na wyścigi, drugi bez nóg, a trzeci, choć był koślawy, tylko to robił, że liczył wrony.

Oto raz poszli synowie starca do lasu rąbać drzewa. Dopóki chromy szykował się do pracy, dopóki beznogi się drapał, a koślawy wszystkich wron przeliczył, spojrzeli – i wieczór nastał. Czas gotować wieczerzę, a ognia nie ma... Co robić, jak zaradzić biedzie? Chromy był mądry, beznogi – sprytny, a koślawy – domyślny: ścięli trzej bracia dużą sosnę na dwa obojścia, rozłupali na polana, ułożyli je w wysoką stertę, i wspinał się koślawy na sam szczyt, by wypatrzyć, gdzie by ognia dobyć i podłożyć pod stos.

Patrzył, patrzył – i istotnie zobaczył, że po jednej stronie, w środku lasu, świeci się ogienek. Poszedł po ogień starszy brat, chromy. Przy ognisku siedzi starzec. „Dzień dobry, dziadku, daj ognia”. – „Zatańcz, to dam”. – „Ale ja nie umiem”. – „No, to piosenkę zaśpiewaj”. – „Nie uczyłem się”. – „No, to bajkę opowiedz”. – „Nie jestem w tym biegły”. „Skoro tak, – mówi starzec, – wracaj, skąd przyszedłeś, nie dostaniesz ognia!” Wrócił chromy z pustymi rękami. „Ech ty, niezdaro! – mówi mu beznogi. – Trzeba, żebym ja poszedł”. Poszedł beznogi – i też z pustymi rękami wrócił.

Przyszła kolej na najmłodszego brata, koślawego. Przyszedł i on do starca. „Dzień dobry, dziadku!” – „Dzień dobry, sąsiedzie”. – „Daj, dziadku, ognia”. – „A ty zatańcz, mnie, starca, rozwesel”. – „Nie umiem; gdzież mnie, kalece!” – „No, to wesołą piosenkę zaśpiewaj”. – „Bardzo, ja śpiewać nie umiem”. – „Skoro tak, to chociaż bajkę opowiedz”. – „To właśnie moje dzieło. Tylko jedna umowa: ja będę opowiadał, a ty nie przerywaj. Jeśli przerwiesz albo powiesz, że mówię nieprawdę, – zapłacisz mi sto rubli”. „Dobrze!” – mówi starzec, a sam usiadł obok koślawego, łysiną do ognia – taka to wielka i jasna łysina! Oto zaczął koślawy opowiadać:

„Żyłem z moim młodszym dziadkiem, kiedy jeszcze on nie był żonaty i ojciec mój się nie urodził, właśnie dlatego, że gdy świat powstał, miałem siedem lat. Wtedy to żyliśmy bardzo bogato: od nagości i bosonóstwa ugiwały się tyki. Chata nasza była duża: na ziemi próg, a tuż przy nim i sufit – choć siedzieć w chacie nie można, zato wygląda dobrze. Ptactwa mieliśmy – jedną kurę, naczyń miedzianych – krzyż i guzik, bydła – karalucha i żuczka, a do zaprzęgu – dwie łyse kotki i jeszcze jeden koński kot. A ziemi ile było – okiem nie ogarniesz: podłoga i ławy same siały, a piec

i półki wynajmowaliśmy. Zasiałiśmy na podłodze jęczmień, a na ławy zabrakło nasion. I wyrósł nasz jęczmień wysoki i gęsty; zadomowiła się w nim szczur; jak zaczęła go łapać nasza łysa kotka – tak się zgubiła, że aż dotąd błądzi... Zebraliśmy ten jęczmień, a złożyć go nie było gdzie. Ja, choć najmłodszy, rozumem wielki – wpadłem na pomysł, by ułożyć stóg na słupie piecowym... A babka moja była bardzo zręczna – na piec trzy lata wspinała się, wspinała, wspinała, nachyliła się, złamała się na pół i naszą stertę do balii upuściła. Dziadek zawył, ja zakrzyczałem... Babkę zszyliśmy łykiem – ona tak jeszcze dziesięć lat chodziła, a jęczmień z balii wyjęliśmy, wysuszyliśmy, omłóciliśmy i piwa nawarzyliśmy. Uwarzyliśmy dwa piwa: jedno rzadkie, a drugie – jak woda. Wypijesz kubek któregokolwiek – staniesz się pełnym głupcem; a gdy gościowi szklankę podasz, za włosy potrząsniesz i kijem po potylicy oberwiesz – tak i z nóg zwalisz... Ale ty słuchasz, dziadku?" – a sam dziadka rękawicą po łysinie pac! „Słucham, jasny panie!"

„No, dobrze. Mieliśmy wszystkiego dużo: pieniędzy dziewięćdziesiąt bez setki – nie umieliśmy ich prosto policzyć. I trzeba powiedzieć: złożyć takie pieniądze nie było w co, a worka kupić nie za co... Była jeszcze u nas siwa klacz, i przytrafiło mi się takie dziwne zdarzenie: raz pojechałem na niej do lasu rąbać drzewa, a topór miałem z tyłu za pasem. Jadę kłusem: tup-tup, a topór po koniu: stuk-stuk! Stukał, stukał, i odciął koniowi cały zad... Słuchasz, dziadku?" – a sam dziadka rękawicą po łysinie pac! „Słucham, jasny panie".

„Na przodku jeździłem trzy lata. Raz jadę lasem, patrzę – a zadek mojego konia pasie się na polanie. Złapałem go, założyłem uzdę, a potem przyszyłem do przodu brzozowym prętem. Zaczął brzoza rosnać ku górze tak, że już koń nie mógł jej na sobie nosić, – wyrosła wysoko-wysoko. Pomyślałem, by wspiąć się po brzozie w górę. Wspinam się, wspinam, a ona wciąż rośnie i rośnie, aż w chmurę się wbija. Chwyciłem się chmury i na nią wylazłem. Podszedłem, popatrzyłem: niczego nie ma... Słuchasz, dziadku?" – a sam dziadka po łysinie rękawicą pac! „Słucham, jasny panie!"

„No, pomyślałem, by wrócić na ziemię. Patrzę, a konia mego dziadek poprowadził poić: nie ma po czym schodzić. Zostałem na chmurze mieszkać, głodem głodować: całkiem wychudłem. I z tej chudości pojawiły się u mnie niemałe pchły. W owym czasie byłem domyślny: zacząłem łapać pchły, zdzierać z nich skórki i skręcać linę; skręciłem długą linę, przywiązałem koniec do chmury i zacząłem schodzić. Na nieszczęście zabrakło liny: do ziemi daleko, do chmury wysoko – co robić? A ja wymyśliłem: od góry utnę i na dół przedłużę, utnę i przedłużę, utnę i przedłużę...

Ale ty słuchasz, dziadku?" – a sam dziadka po łysinie rękawicą pac! „Słucham, jasny panie; i wszystkie twoje słowa – prawda prawdziwa!"

„Ciąłem, ciąłem; doszło do tego, że nie było już czego przedłużać. Siedzę, nie smucę się, rozglądam się: chłop wieje owies, plewy lecą w górę. Ja szybko łapię plewy i skręcam linę; skręcałem, skręcałem, skręcałem, zmarłą szczurkę zawarłem. Ni stąd, ni zowąd szczurka ożyła i linę przecięła. Jak polecę w dół... Leziałem, leciałem, leciałem, leciałem, leciałem... Słuchasz, dziadku?" – „Słucham, jasny panie". – „A, żeby cię!... Dobrze. Ile leciałem, tego i za sto rubli nie powiesz, i spadłem w bagno, w trzęsawisko aż po usta; chciałem napić się wody, ale szyi nie mogłem schylić. Przybiegł lis, na mojej głowie zbudował gniazdo, siedmioro lisiąt przyniósł. Szedł obok wilk, lisięta porwał, a ja zdążyłem go chwycić za ogon. Jak się złapałem i krzyknąłem: tyu-tyu-tyu! Wilk mnie z bagien wyciągnął".

Zupełne nieszczęście nadchodzi koślawemu: już niedługo nie będzie co opowiadać, a dziadek wciąż nie sprzeciwia się, wciąż nie przerywa. Trzeba, cokolwiek by nie było, dalej opowiadać, by osiągnąć swoje.

„Z bagien wylałem głodny-przegłodzony. Patrzę, a w dziupli siedzą smażone przepiórki. Chciałem wsunąć rękę do dziupli – nie wchodzi. Nie ma rady – sam wlałem, najadłem się i utylęm, назад już nie wyjdę. Tu byłem domyślny: pobiegłem do domu po topór, wyrąbałem dziuplę szerzej i wydostałem się... Poszedłem, niewiedomo dokąd, i dotarłem za morze do takiej krainy, gdzie było nic nie warte; za muchę z muszką dają krowę z cielakiem, a za duże baki – wielkie byki. Nałapałem tam trzech worków much, wymieniłem na krowy i byki trzy tabuny, przyprowadziłem do siniego morza – i zacząłem narzekać, jak pędzić stado do domu. Jeśli wynająć statki – drogo wezmą, jeśli puścić wpław – połowa stada utonie... Co tu robić, dziadku?" – „Opowiadaj, opowiadaj, jasny panie!"

„Oto, zręcznie się ustawiłem: chwyciłem jedną krowę za ogon, machałem, machałem, a jak rzuciłem – tak na drugi brzeg wpadła, tylko w locie dwa razy się obróciła. Przerzuciłem wszystkie trzy tabuny, został jeden bury byk... Chwyciłem go za ogon, owinąłem ogon wokół ręki mocno-mocno, zebrałem siły, obróciłem się, a jak machnąłem – tak razem z bykiem przeleciałem przez morze... Tylko jakie tu ze mną nieszczęście się stało! Jak rzucałem byka, to pewnie przypadkowo wziąłem na bok – i wpadłem prosto do piekła... Co tu robić, czym się żywić? Oto zatrudniłem się u diabłów do wożenia nawozu. Trzy lata woziłem nawóz – i wszystko na twoim dziadku".

„No, już to kłamiesz, jasny panie, – mówi starzec. – Nie może być, by diabeł na moim dziadku nawóz woził!" „Może, nie może, ale sto rubli dawaj!"

Zabrał koślawy od starca pieniądze, wziął ognia i wrócił do braci. Zaraz rozpalili ognisko, ugotowali wieczerzę i tak z głodu najedli się, że, jak potem zasnęli – tak i dotąd, chyba, śpią.

